

Lech K. Paprzycki

RPA po wyborach : zwycięstwo czy klęska demokracji?

Palestra 38/5-6(437-438), 52-62

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Lech K. Paprzycki

RPA po wyborach – zwycięstwo czy klęska demokracji?

Nikt, kto choć trochę zna współczesną Republikę Południowej Afryki i był tam w czasie kwietniowych wyborów, nie podejmie nawet próby odpowiedzi na tytułowe pytanie. Nie uczynię tego również ja, choć gdy piszę te słowa ogłoszone zostały wstępne wyniki wyborów, z których wynika, że w wyborach do parlamentu krajowego Afrykański Kongres Narodowy Mandeli (ANC) uzyskał 62% głosów, natomiast Partia Narodowa Federika de Klerka 24%. Z kolei w wyborach prowincjonalnych w okręgu Johannesburga (PWV) zdecydowanie prowadzi Kongres, w Natalu zuluska Inkatha (IFP) Butheleziego, natomiast w nowych prowincjach Przylądkowych (Zachodniej i Wschodniej) zwycięża Partia Narodowa (NP). To nikogo nie mogło zaskoczyć. Północna część RPA to okręgi przemysłowe, gdzie są wielkie skupiska czarnej, biednej ludności, gdzie N. Mandela jest szczególnie popularny. Natal Kwa Zulu to tereny dawnego królestwa Zulusów, gdzie Inkatha, ich narodowa partia, która w ostatniej chwili uzyskała gwarancje znacznej samodzielności prowincji, nie mogła nie odnieść sukcesu. Na południowe wybrzeże od stuleci ściągali ludzie, którzy się dorobili, bo klimat tam szczególnie łagodny i strefa dla Murzynów, do niedawna, zakazana.

Stąd przewaga osadnictwa białych, których ostatnią nadzieją jest Partia Narodowa. Ostateczne wyniki mogą być podobne, ale co będą oznaczać dla przyszłości tej części Afryki, tego jeszcze nie wiadomo.

Południowoafrykańskie wybory przebiegły w nadspodziewanie dobrej atmosferze, choć przemoc na ten czas nie ustała, zamachów bombowych nie zabrakło, a kolejne kilkadziesiąt osób straciło życie. W ostatnich tygodniach, w czasie kampanii przedwyborczej, przemoc narastała gwałtownie, prasa światowa i krajowa pełna była wstrząsających reportaży, a zdjęcia pomordowanych ludzi wręcz przerażały. Życzliwi, których nie brakowało, radzili aby nie jechać pod byle pretekstem. Nie lekceważąc zagrożenia próbowałem żartować, że kwota ubezpieczenia na życie, na nasze warunki niebagatelna, jest zbyt kusząca, a ponadto, przekonywałem, kto nie ryzykuje, ten nie zobaczy.

W samolocie do Frankfurtu spotkałem polskich parlamentarzystów zaproszonych przez AWEPE (Stowarzyszenie Parlamentarzystów Europy Zachodniej na rzecz Południowej Afryki), posłów: Jana Kopczyka, Krzysztofa Króla i Jana Rulewskiego. Pani Marszałek Z. Kuratowska przyleci do Johannesburga dopiero za dwa dni,

w związku z toczącymi się obradami Unii Demokratycznej i Kongresu Liberalno-Demokratycznego.

Na lotnisku oczekują nas przedstawiciele AWEF-y i, jak zawsze, ambasador Stanisław Cieniuch.

Dojazd do hotelu okazał się niemożliwy. Ulice wokół zablokowane przez policję i wojsko. Ale to nie akcja policyjna w Warszawie. Dziesiątki specjalnych pojazdów pancernych na bardzo wysokich podwoziach, z monstrualnym wręcz systemem napędu na wszystkie koła, pomalowane na oliwkowy kolor, wypełnione uzbrojonymi po zęby policjantami i żołnierzami. Broń automatyczna gotowa do strzału. Inne pojazdy błyskawicznie rozwijają zasieki z potrójnych zwojów drutu ze stalowymi zaczepami, o wysokości co najmniej trzech metrów. Zwinąć je równie łatwo, ale przekroczyć chyba niemożliwe. Poseł Rulewski, zaprawiony w akcjach antypolicyjnych, po przyjrzeniu się drutom zapewnia nas, że ma pomysł na ich pokonanie. Po usłyszeniu szczegółów „technicznych” jesteśmy nawet przekonani.

Ale nie czas na żarty. Dochodzimy do hotelu i wówczas okazuje się, że na godzinę przed naszym powrotem na skrzyżowaniu w odległości nie większej jak 150 m wybuchła bomba w zaparkowanym samochodzie. Miejsce zdarzenia widać dobrze z okna mojego pokoju hotelowego mieszczącego się na 20 piętrze. Robię zdjęcia. Zniszczone zostały partery dwóch budynków, szyby w kilkunastu, a nawet w moim pokoju podmuch wybuchu musiał poruszyć konstrukcję budynku, bo na parapecie i na podłodze sporo kurzu. Mimo niebezpiecznej sytuacji wycho-

dzimy na ulicę. Policji, wojska dużo. Na sąsiednich ulicach sporo gości hotelowych, już z oznaczeniami „wyborczymi”. Podchodzimy bliżej. Atmosfera niepokojąca. Są jeszcze smużki dymu, zdeformowane konstrukcje metalowe, porozrzucone przedmioty, fragmenty tkanin, cegły, mnóstwo szkła. Resztką spalonego samochodu i obok głęboka wyrwa w jezdni i chodniku. Reporterzy rozmawiają z kilkoma osobami lekko rannymi – zwłoki zabitej wybuchem kobiety już zabrano. Na rumowisku i w sąsiednich budynkach liczne ekipy. Nie tylko zabezpieczają ślady, ale sprawdzają stan instalacji. Sposób zachowania wskazuje na to, że mają dużą wprawę.

Hotel Holiday Inn, w którym się zatrzymujemy, to nowoczesny obiekt liczący sobie 30 kondygnacji, obszerne sale konferencyjne i eleganckie restauracje. Położony jest w centrum starego Johannesburga, o 200 m od siedziby Sądu Najwyższego Prowincji PWV, biurowca Rady Adwokackiej i kancelarii adwokackich Johannesburga. Pamiętam ten rejon sprzed kilku lat. Zmiany radykalne. Białych na ulicach prawie nie widać, tylko tuż przed wejściem do hotelu. Wszędzie tłumy ludzi, stragany, przekupnie, uliczni szewcy i fryzjerzy. Postaci bardzo różne. Nie brakuje typów, których zobaczenie nawet w pełni dnia musi niepokoić.

W hotelu pierwsze spotkanie organizacyjne. Dostajemy ekwipunek: czapki, opaski i torby z napisem w języku angielskim i afrikaans, a także specjalną przepustkę świadczącą, że działamy za zgodą Niezależnej Komisji Wyborczej (IEC). Dodatkowe wyposażenie to „podręcznik obserwatora”, formularze

sprawozdań oraz informacje, jak i „listy polecające” do poszczególnych regionów RPA, gdzie mamy obserwować wybory. Organizatorzy jeszcze raz przypominają o warunkach bezpieczeństwa, ale już chyba niepotrzebnie, bo wydarzenia sprzed kilku godzin musiały przekonać każdego.

Panowie posłowie mają jechać do Kleerksdrop, przyszej stolicy prowincji Północno-Zachodni Transwal, ja wraz z dwoma sędziami z Holandii do Oranii (Orange Free State), której stolicą jest Bloemfontein, siedziba Sądu Najwyższego RPA. Początkowo miało to być większy zespół sędziów, którzy z ramienia AWEP-y mieli być wysłani do miejsc szczególnego zagrożenia. Ale chyba chętnych sędziów zabrakło. Na szczęście, również wydarzeń.

Pierwsza noc w Johannesburgu była szczególnie trudna. Mimo zmęczenia kilkunastogodzinnym lotem poprzedniej nocy – budzę się pół godziny po północy, z uczuciem niepokoju. Wstaję, podchodzę do okna. Widok przyciągający wzrok – rozświetlone po horyzont ogromne miasto, ale i widok przykry – zupełna pustka na ulicach. Spostrzegam wolno posuwający się samochód policyjny. Zatrzymuje się koło pojazdu zaparkowanego w pobliżu hotelu. W świetle rozbłyskujących reflektorów pojawiają się postaci uzbrojone w pistolety maszynowe. Kierowca samochodu pośpiesznie wysiada z podniesionymi rękami. Policjanci przeszkują wszystko. Po chwili oba samochody odjeżdżają. Robi się znowu pustota. Po kilkunastu dalszych minutach rozlega się odgłos silnej detonacji i w odstępach półgodzinnych dwie ko-

lejne. Z okna nic nie widać, ale wrażenie bardzo przygnębiające. Z jednej strony pamięć o tym, co zdarzyło się kilkanaście godzin wcześniej na pobliskiej ulicy i kolejne detonacje; z drugiej zaś świadomość, że wszystko zdarzyć może się w każdej chwili i w każdym miejscu, także w moim hotelu.

Posłowie rano wyjeżdżają do Kleerksdrop, ja jeszcze zostaję. Następnego dnia jadę z panią Anne van der Putt sędzią Sądu Najwyższego Holandii i panem Martenem Lührmanem sędzią Sądu Apelacyjnego w Eindhoven, do siedziby Komisji Goldstone’a w Johannesburgu i Instytutu Badania Publicznej Przemocy. To interesująca wizyta. Pracownicy Instytutu zdają sobie sprawę z tego, że w nowych warunkach, po wyborach, zmieni się przedmiot ich obserwacji i badań. Nie ludzą się jednak tym, że przemoc zniknie z życia publicznego. Zresztą chcą poszerzyć krąg zainteresowań o badanie zjawiska przemocy w rodzinie, w stosunku do kobiet i dzieci. Pracy, z całą pewnością, nie zabraknie.

W czasie lunchu spotkanie z sędzią R. Goldstonem, przewodniczącym Komisji. Nasza rozmowa z nim stanowi dla mnie zawód. Może nie byliśmy zbyt atrakcyjnymi rozmówcami, a może zbyt był nasz gospodarz zaabsorbowany toczącymi się wydarzeniami.

Zaraz kolejna wizyta – w kancelarii adwokata George’a Bizosa, obrońcy i doradcy prawnego N. Mandeli. Biuro obszerne, mieści się na dwóch kondygnacjach, w niezbyt eleganckiej dzielnicy. Można się domyślać, że liczni klienci niżej klasy średniej. Jest tu gabinet szefa, spora biblioteka, pokoje współpracowników, archiwum i szereg

innych pomieszczeń. Sztab prawników, w różnym wieku, liczy ponad dwadzieścia osób. Z nimi właśnie spotykamy się w sali konferencyjnej. Gospodarz, chyba Grek z pochodzenia, to człowiek niezwykle pogodny, serdeczny – z dużą przyjemnością opowiada o swojej pracy i kilku szczególnie ważnych sprawach, które wygrał. Tam też przychodzi adwokat Peet Coetsee, Przewodniczący Rady Adwokackiej Johannesburga, z którym udajemy się do sądu najwyższego prowincji PWV (Johannesburg). Budynek imponujący, zarówno w starej, kolonialnej, jak i nowej części. Gabinet Prezesa L. van der Merwe – godny jego stanowiska. Prezes przez kilkadziesiąt lat był adwokatem i przed emeryturą zdołał osiągnąć szczyt kariery prawnika w RPA – został sędzią Sądu Najwyższego. Z pochodzenia Holender (jego dziadek był prezydentem Transwalu), zna Europę, był również w Polsce. Interesuje się tym, co każdy z nas robi. Pyta o nasz Sąd Najwyższy, jego pozycję, funkcje procesowe. Sprawia wrażenie szczerze zainteresowanego swymi gośćmi. Zwiedzamy zabytkowy budynek sądu. Robi wrażenie, zwłaszcza wobec naszego Sądu Najwyższego.

Następnego dnia rano wyjeżdżamy do Bloemfontein. Puste ulice Johannesburga. Odlatujemy na kilka godzin przed kolejnym zamachem bombowym, który zdemolował sporą część hali odlotów – eksplodował ładunek ponad 100 kg ładunek wybuchowy w zaparkowanym autobusie. Na miejscu dowiadujemy się, że lotnisko w Kapstadtzie jest zamknięte z powodu walk toczących się w pobliżu terenu lotniska. Nikt nie zna szczegółów. Przypominam

sobie, że między miastem a lotniskiem są dzikie osiedla murzyńskie.

Niepokój przed wyborami coraz większy.

W porównaniu z Johannesburgiem, Bloemfontein to prowincjonalne miasteczko. Skromny dworzec lotniczy, obskurna taksówka, którą jedziemy do odległego o 10 km miasta i skromne, w kolonialnym stylu, stare centrum. Zatrzymujemy się w starym hoteliku Halevy House, który musi pamiętać początek ubiegłego stulecia. Chyba z trudem wytrzymuje konkurencję nowoczesnych hoteli miasta, bo przez następne trzy dni byliśmy chyba jedyne stałymi gośćmi. Niewiele pokoi, mała restauracja, mały bar i znacznie większa kręglarnia. Jednak wszystkie współczesne urządzenia, wygodna i szczególna atmosfera staromodnego wystroju i fotografii z minionej dawno epoki. Tego dnia odwiedzamy siedzibę prowincjonalną Niezależnej Komisji Wyborczej, gdzie otrzymujemy niezbędne informacje oraz zamawiamy samochód z kierowcą na trzy kolejne dni.

Jest 26 kwietnia 1994 r. – pierwszy dzień wyborów, w specjalnych komisjach wyborczych, dla tych, którzy z różnych powodów nie będą mogli głosować w dwóch następnych dniach, w powszechnie dostępnych punktach głosowania. Przede wszystkim są to szpitale, domy pomocy społecznej, pensjonaty emerytów, więzienia i jednostki policji. Z kilkudziesięciu wybieramy kilka, raczej z ciekawości, bo ci wyborcy nie zdecydują o wynikach.

Jesteśmy na skraju niewielkiego, ogrodzonego osiedla domków wielomieszkańczych dla białych pensjona-

riuszy – emerytów. Przychodzą ludzie starzy, często skromnie ubrani, schorowani, kalecy. Jest im potrzebna pomoc fizyczna; tym najstarszym niezbędne jest wytłumaczenie sposobu głosowania, a nawet zastąpienie przy skreślaniu i wrzuceniu karty do głosowania do urny. To wszystko reguluje ordynacja wyborcza, a czynności tej komisji nie budzą wątpliwości.

Więzienie prowincjonalne leży poza miastem. Główny budynek z całą pewnością zabytkowy, dobrze utrzymany. Oczywiście to, co widać z zewnątrz. Bez przeszkód docieramy do lokalu wyborczego. Wszystko już gotowe, a pierwsza grupa więźniów przygotowana. Przebywają tu tymczasowo aresztowani i odbywający wyroki opiewające nawet na dożywotnie więzienie. Najpierw kobiety. Liczna grupa. Wyglądają zupełnie przeciętnie, można powiedzieć „nie-więziennie”. To tymczasowo aresztowane, a więc jeszcze we własnych ubraniach. Na koniec niespodzianka – dwie białe kobiety. Pierwsza, starsza o wyglądzie świadczącym, że nie jest tu debiutantką. Druga, znacznie młodsza, według polskich kryteriów zapewne młodociana, wyraźnie speszona. Potem grupa mężczyzn tymczasowo aresztowanych. Przed przybyciem więźniów odbywających karę pozbawienia wolności, dyrektor więzienia prosi obserwatorów o przejście w miejsce nieco oddalone od „trasy wyborczej”. Chyba nie bez powodu, bo pojawiają się mężczyźni o spojrzeniach ponurych, budowie atletycznej i ruchach z trudem kryjących agresję. Strażnicy w pogotowiu, ale nic się nie stało.

Odwiedzamy szpital. Przydałby się niejednemu miastu w Polsce. Tu pierw-

szy moment poruszający wszystkich. Czarnoskóra staruszka na wózku inwalidzkim, z aparatem tlenowym, po oddaniu głosu podnosząc z trudem wychudzone ramię mówi jednak wyraźnie – teraz mogą już umrzeć.

Późnym popołudniem docieramy do domu pomocy społecznej. Jest już po wyborach, uczestniczyło w nich kilkanaście osób.

Na koniec miejska i prowincjonalna komenda policji. Przyjmują nas dowodzący oficerowie. Jest już po wyborach. Osoby zatrzymane nie przebywają tu dłużej niż 24 godziny. Głosowali policjanci, którym służba w następnych dniach uniemożliwia uczestniczenie w powszechnych wyborach.

Wracamy do hotelu. Przygotowujemy raport. Pisze go Anne, a nadaje faxem Norman. Umawiamy się z naszym kierowcą Peetem, emerytowanym policjantem, na 6.00 rano następnego dnia, by zdążyć sprawdzić w pierwszym punkcie wyborczym, czy zostanie otwarty punktualnie o 7.00, jak nakazuje ordynacja.

27 kwietnia 1994 r. – pierwszy dzień powszechnych wyborów w RPA – ten dzień zdecyduje o wszystkim. O 6.15 wyruszamy w kierunku Ladybrand ku granicy z Lesoto. W pierwszym punkcie wyborczym na przedmieściach stolicy prowincji jesteśmy tuż przed siódmą. W lokalu wyborczym są wszyscy i wszystko. Tu mieszkają biali. Jest kilkunastu wyborców. Wchodzą do lokalu punktualnie. Po kilku minutach jest już po wszystkim. Wychodzimy pospiesznie, by możliwie wcześniej dotrzeć do odległego o blisko 60 kilometrów dużego osiedla murzyńskiego w Botshabelo.

Wizytujemy kolejno trzy lokale wyborcze, w których głosują tylko czarni obywatele. Przybывamy tu bez najmniejszych obaw, choć zalecano nam największą ostrożność. Mamy jednak za sobą doświadczenie sprzed trzech dni, gdy uczestniczyliśmy bez przeszkód i poczucia zagrożenia, w wiecu przedwyborczym Inkathy, z udziałem Butheleziego, na stadionie w Soweto. Choć niektórzy mówcy, przemawiając, czynili to z największym zaangażowaniem emocjonalnym, przygotowującym o niepokój, to jednak kilka tysięcy widzów na stadionie reagowało bardzo umiarkowanie, a życzliwość wobec zagranicznych obserwatorów czuło się na każdym kroku.

Botshabelo, liczące kilkadziesiąt tysięcy czarnych mieszkańców, to największy township prowincji i jedno z niewielu większych skupisk ludności na tym terenie. Robi więcej niż dobre wrażenie. Zapewne spora część mężczyzn ma jakąś pracę w mieszczących się tu sporych zakładach i w Bloemfontein, bo przeważa dość porządna zabudowa, a choć w większości to domy niewielkie, to jednak bardzo porządne. Nie odosobnione są obiekty, które w europejskich warunkach mogłyby uchodzić za solidne domy jednorodzinne, a nawet wille. Jednak jak w każdym tego rodzaju osiedlu murzyńskim bardzo dużo jest domków skromnych, czasem wręcz nędznych, nie brakuje też takich, których nie można uznać za godne zamieszkiwania przez ludzi. Najzamożniejsi mają swoje siedziby w pobliżu szkół osiedlowych i budynków, które nazywają się townhall. Są to niewielkie hale widowiskowe, które mogą pomieścić około 200 osób. To

obiekty będące w zarządzie gminy, dobrze utrzymane, ogrodzone. Niejedno polskie miasteczko przyjęłoby je do siebie z zadowoleniem. Tam właśnie zostały umieszczone punkty wyborcze.

Wykonujemy tu rutynowe czynności, dozwolone przez prawo wyborcze, a równocześnie pozwalające zorientować się, czy głosowanie jest wolne i uczciwe (free and fair). Oceniamy organizację lokalu wyborczego, prawidłowość przeprowadzanych czynności, gwarancje tajności, zabezpieczenie urn i kompletność druków, w szczególności kart do głosowania. Z tymi ostatnimi jest sporo kłopotów, gdyż bardzo późna decyzja Inkathy uczestniczenia w wyborach spowodowała konieczność dolepienia na kartach wyborczych oznaczenia tej partii. Jest to pasek szerokości 2 cm i długości 20 cm z nazwą partii, jej symbolem, skrótem nazwy, wizerunkiem przywódcy i „wolną kratką” przeznaczoną do postawienia znaku wyborczego. Szczególnie symbole, skróty i wizerunki są ważne, gdyż większość czarnych wyborców nie potrafi pisać i czytać. Karta wyborcza jest duża, w wyborach uczestniczy 19 partii, kolorowa, ale wizerunki przywódców niewielkie, niektórzy z nich bardzo do siebie podobni. To też istotne, bo zauważyłem, że wielu Murzynów ma słaby wzrok.

Przygotowanie wyborów w terenie, z naszego europejskiego punktu widzenia, było bardzo proste. Jeżeli były karty do głosowania, proste urządzenia rzucające światło ultrafioletowe i specjalny „niewidzialny” atrament, to wystarczyło. No, oczywiście, jeszcze urny do głosowania. Nie przygotowano list

wyborczych, gdyż dotychczas nie prowadzi się ewidencji ludności, zwłaszcza w osiedlach murzyńskich. Do głosowania upoważniał dokument identyfikacyjny wielu rodzajów, a także zeznanie dwóch wiarygodnych świadków o posiadaniu przez kogoś obywatelstwa RPA.

Oto jak przebiegało głosowanie, na przykładzie jednego z punktów wyborczych w Botshabelo, usytuowanego na terenie szkoły. Gdy przybyliśmy, w długiej kolejce oczekiwało cierpliwie kilkaset osób. Przy furtce stała grupa policjantów i przedstawiciel Niezależnej Komisji Wyborczej, który co kilka minut wpuszcza za ogrodzenie około 20 osób. Policjant sprawdza, czy ktoś nie ma broni. Wpuszczone osoby ustawiają się w kolejce przy wejściu do pomieszczenia wyborczego. Tam, pojedynczo, w krótkich odstępach, wchodzi do wnętrza okazując przedstawicielowi IEC dokument identyfikacyjny. Kolejny członek komisji wskazuje wyborcy, gdzie ma podejść w pierwszej kolejności. Tu urządzenie emitujące promienie ultrafioletowe, do którego należy kolejno włożyć obie ręce, dla wyeliminowania tych, którzy już głosowali i mają na rękach „niewidzialny” w zwykłym świetle atrament. Kolejny członek komisji porównuje dokument identyfikacyjny z osobą. Następny nanosi „niewidzialny” atrament na grzbietową część dłoni wyborcy. W kolejnym urządzeniu sprawdza się, czy ów atrament został naniesiony. Przy następnym stoliku siedzą dwie osoby. Jedna wydiera kartę do głosowania, numerowaną, a druga składa ją w sposób, w jaki zostanie umieszczona w urnie i opatruje pieczęcią komisji, by

następnie wręczyć ją wyborcy. Teraz kolejny członek komisji pyta wyborcę, czy nie potrzebuje pomocy i wskazuje mu zasłonięte miejsce do dokonania skreślenia. Jeżeli taka pomoc jest potrzebna, wyborcą zajmuje się przewodniczący komisji z udziałem jednego z oficjalnych przedstawicieli IEC, specjalnie zaprzysiężonych. Dotyczy to również osób, które z przyczyn fizycznych (np. brak rąk) nie mogą sobie sami dać rady. Po dokonaniu stosownego skreślenia wyborca składa kartę do głosowania i po okazaniu pieczęci komisji wrzuca kartę do metalowej urny, która jest oznaczona, sprawdzona, zabezpieczona, choć chyba w sposób nie najdoskonalszy. Tu kończy się pierwszy akt głosowania do parlamentu krajowego. Przy kolejnym stoliku wręczana jest druga karta do głosowania prowincjonalnego. Procedura się powtarza z tym, że jest odrębna urna dla tych kart. Ostatni członek komisji pokazuje wyborcy, którą ma opuścić lokal. Urny, dodatkowo zabezpieczone, trafią do właściwych komisji obliczeniowych, gdzie nastąpi ich otwarcie, już po zakończeniu wyborów.

Ta procedura może się wydawać nadopiekuńcza i niepotrzebnie angażująca dużą liczbę osób. Nasze obserwacje prowadzą jednak do wniosku, że to wszystko wymyślił ktoś przewidujący. Członkowie komisji byli dobrze przygotowani, sprawnie wykonywali swe niezbyt skomplikowane czynności, a zahamowania zdarzały się zupełnie wyjątkowo. Twórcy tej szczególnej procedury słusznie przyjęli, że większość czarnych wyborców i członków komisji to ludzie na bardzo niskim poziomie. To wszystko kosztowało nie-

mało, ale innego wyjścia chyba nie było. Jej członkowie porozumiewając się między sobą jak i pomagając wyborcom, posługiwali się gestami, a mówili szeptem. Wyborcy, hałaśliwi na co dzień Murzyni, tu zachowywali się ze szczególną powagą.

Interesujące jest obserwowanie wyborców: bardzo młodych, którzy już niewiele mogą powiedzieć na temat prawdziwego apartheidu i bardzo starzy, którzy wiedzą na ten temat wiele. Zwraca uwagę duża liczba kalek, wielu ludzi skrajnie wychudzonych, ale niemało bardzo otyłych. Widziałem, jak w głosowaniu wzięła udział starsza już Murzynka ze sparaliżowanymi nogami, monstrualnie otyła. Siedzącą na wielkim fotelu, prznosiło z wielkim trudem pięciu roślących mężczyzn. „Weszła” i „wyszła” z lokalu wyniesiona przez okno, bo standardowe drzwi były za wąskie.

Z Botshabelo jedziemy do Tweespruit przez Thaba Nchu leżącą na którymś kolejnym skrawku Boputatswana. Miało być miasto, jest niewielka wieś, gdzie uwagę zwraca jedynie dość duży elewator zbożowy. O ile w township członkowie komisji to Murzyni – tu tylko biali. Młodzi i starsi. Nastrój dobry. Większość uprawnionych do głosowania już to uczyniła. Przewodnicząca komisji, postawna czterdziestolatka w sportowym stroju, stanowczo mówi, że ci biali, którzy występują przeciw wyborom stosując przemoc, to ludzie chorzy z nienawiści, a ci którzy w wyborach udziału nie biorą, nie rozumieją swego obywatelstwa i politycznego interesu.

Wyruszamy w kierunku Wepener i Zastron, na południe. Krajobraz

zmienia się. Kończą się pola uprawne, wyschnięte już o tej porze uprawy kukurydzy. Zaczynają się pastwiska, w całości ogrodzone niewysoko drutem kolczastym i dalej już zupełnie dzika sawanna. Teren płaski, z licznymi wzgórzami – wszystko w kolorze żółto-brązowym – w kolorze późnej, suchej afrykańskiej jesieni. Jest to też zwiastun zimy, przynoszącej tu w nocy nawet kilkustopniowe mrozy, a w górach Lesoto obfite opady śniegu. Już teraz rano temperatura bliska jest 0°C, w cieniu przez cały dzień chłodno, ale w słońcu nawet 30°C. Murzyni chodzą ciepło ubrani, w czapkach, swetrach, owinięci kocami. W wielu lokalach wyborczych włączone jest ogrzewanie. Dla mnie klimat jest szczególnie przyjemny – to taki piękny polski wrzesień. Wśród tych pastwisk i sawanny coraz mniej pojedynczych farm usadowionych w wielkich kotlinach, gdzie w pobliżu, po przegrodzeniu ziemną groblą, zgromadzona jest woda spływająca obficie w porze deszczowej. Stałym elementem krajobrazu są umieszczone na wysokich masztach wiatraki, których jedynym przeznaczeniem jest uruchamianie pomp wodnych, sięgających do złóż położonych poniżej 3 km. Bardziej na południe i zachód, gdzie wody jeszcze mniej, takie wiatraki będą także w miasteczkach.

Po drodze do Wepener zauważamy punkt wyborczy tuż koło drogi, jak się okazuje na terenie opuszczonej farmy. Sam lokal to uprzątnięta na czas wyborów szopa z klepiskiem, dziurawymi ścianami i dachem. Jest czysto, ale wyjątkowo skromnie. W komisji sami biali. Na bocznej drodze wyprzedzamy ciągnik z przyczepą, na której siedziało

ze trzydziestu Murzynów. Nazywamy ich „naszymi” wyborcami, bo choć mówią tylko językiem sutu (do granicy z Lesoto tylko 3 km) dowiadujemy się, że to farmer, u którego pracują, polecił zawieźć ich na wybory. W tym też wyjątkowym miejscu głosuje nasz kierowca. Nie możemy spytać, za jaką partią się opowiedział, ale zapewne nie za tą, co jego czarni współobywatele.

Wepener to senne miasteczko – wieś z zabudową bardzo luźną, dość staranną, ale niezbyt bogatą. Punkt wyborczy w townhall – miejskiej sali widowiskowej wzniesionej w 1925 r. Tu przeważa miejski elektorat ludzi białych, Murzyni nieliczni. Wyborcy już byli. Ani dziś, ani jutro nie spodziewają się już wyborców, ale lokal, zgodnie z prawem, będzie czynny do siódmej wieczorem.

W Wepener robi się późno, to przecież późna jesień, zmrok zapada około 18.00, a poruszanie się po RPA w nocy bywa niebezpieczne. Kierujemy się więc ku Dewetsdrop na północny zachód z zamiarem dotarcia w drodze powrotnej do Reddersburga – w sumie 160 km. Powinniśmy zdążyć przed nocą.

Ale los chciał inaczej. Kiedy za Dewetsdrop zjechaliśmy na drogę szutrową, zresztą dobrze utrzymaną, po kilkunastu kilometrach okazało się, że nie ma powietrza w jednym z kół. Zapasowe okazało się również uszkodzone, a podnośnik niesprawny. Dookoła zupełna pustka – dosłownie żadnego śladu życia. Mieliliśmy jednak szczęście. Nadjechał samochodem farmer udający się do miasta z dwiema kobietami. Okazał się więcej niż życzliwy. Po angielsku mówił z wielkim trudem. Ale kierowca Peet i moi Holen-

drzy nie mieli żadnych kłopotów z afrykańskimi. Farmer pomógł zdemontować koło. Zawiózł je do wstępnej naprawy, doholował nas do miasteczka, znalazł właściciela stacji obsługi, który, uzbrojony w dwa wyraźnie wystające pistolety, po godzinie uporał się z awarią. Do Bloemfontein dotarliśmy późną nocą.

W ostatnim dzienniku telewizyjnym złe wiadomości: niepokoje w Natalu, brak kart wyborczych w wielu okręgach, brak części dolepianych z oznaczeniem partii Butheleziego i wiele innych. Trochę wydaje się to dziwne w państwie, które posiada sprawny system komunikacji, bardzo dobre drogi i w dyspozycji setki tysięcy pojazdów. Brakujące karty do głosowania (!?) drukowane są w Port Elizabeth i w Johannesburgu. Podobno są kłopoty w ich dostarczeniu. Znow trudno w to uwierzyć.

Następnego dnia, w ostatnim dniu wyborów, „u nas”, na południu prowincji stwierdzamy, że kłopotów nie ma, choć w jednym miejscu brakuje „dolepek” z Buthelezim. Pomysłowa komisja postanowiła „dopisywać” oznaczenie tej partii na dole karty i informować o tym wyborców. Na szczęście z tego zrezygnowali i po przerwie kilku godzin, po otrzymaniu „doklejek”, znow podjęli czynności.

Dziś, w porównaniu z poprzednim dniem, ruchu prawie nie ma i to zarówno gdy głosujący są biali, czy tylko Murzyni.

Im bardziej podążamy na zachód, tym okolica staje się bardziej pusta, farm coraz mniej a miasteczka jeszcze mniejsze. Smithfield, Bethulie czy

Springfontein, to w zasadzie wsie liczące po kilkuset mieszkańców o starannej, co prawda, zabudowie, a domy świadczące o większej niż na wschodzie zamożności. Nie może być jednak wątpliwości, że to głęboka południowoafrykańska prowincja. Mimo to, albo może właśnie dlatego, czujemy się, chyba po raz pierwszy w czasie tego pobytu w RPA, dobrze. Nie ma wysokich płotów, drutem ogrodzonych od ulicy domostw, nie ma policji, wojska, strażników – nie czuje się stanu zagrożenia. Nawet w Philipolis, gdzie docieramy szutrową drogą, a za miasteczkiem odwiedzamy township, robi ono sympatyczne wrażenie. Większość domów solidna, szkoła obszerna, w wyśmienitym stanie. A przecież jesteśmy w skrajnie konserwatywnym rejonie wielkich właścicieli ziemskich. Farmy liczące sobie ponad 60 000 ha pastwisk nie należą do rzadkości. Tu Murzynów nigdy nie zatrudniano do posług domowych, ale jednocześnie traktowano ich jak potrzebne zwierzęta domowe. Nie zaznawali więc głodu, a i pomoc lekarska była zapewniona. Może właśnie dlatego nie ma teraz nienawiści, tak charakterystycznej dla północy RPA. Zresztą dziś Murzyni w tym rejonie, odnoszę wrażenie, nie pracują w zasadzie na farmach. Pastwiska w całości ogrodzone, zwierzęta pozostają tam przez cały rok i jedynym zmartwieniem jest dostarczanie im wystarczającej ilości wody, a to zapewniają wznoszone groble i pompy wiatrowe.

W każdym z kolejno odwiedzanych lokali wyborczych nie spotykamy już wyborców – ci, którzy chcieli być, byli już wczoraj. W Philipolis członkowie komisji znają dobrze każdego wyborcę.

Wiedzą kto był i kto z całą pewnością nie będzie. Jest już późne popołudnie. Pijemy kawę w miejscowym townhall, rozmawiając z gospodarzami o niepewnej przyszłości południa Afryki. Wręcz rzuca się w oczy efektywność i zadbanie starszych pań i uroda młodych. Pano wie nienagannie ubrani, eleganccy w każdym calu. I to tu, prawie na końcu świata, gdzie „afrykański diabeł” nie ma nawet czasu powiedzieć dobranoc.

W Philipolis miało miejsce jeszcze jedno, prawie tajemnicze spotkanie. Otóż, gdy wychodziliśmy z lokalu wyborczego podszedł do mnie staruszek, na którego poprzednio nie zwróciłem uwagi. Ku memu zaskoczeniu zaczął mówić po polsku, ale tym chyba już nieistniejącym językiem „kresowym”. Z rozmowy wynikało, że od lat nie docierają do niego żadne wiadomości z Polski. Odniosłem wrażenie, że Polska, która go interesuje, to Kresy Wschodnie z pierwszych dziesięcioleci kończącego się wieku. Pozostałem mu swą wizytówkę, ale nie odwzajemnił się nawet podaniem nazwiska. Nie wiem kim jest. Może o to właśnie mu chodziło.

Już po zmroku zatrzymujemy się w Mangaung – townshipie Bloemfontein, wizytując jeden z punktów wyborczych usytuowanych w miejscowej szkole technicznej. Tu zaskoczenie – wszystko już złożone i przygotowane do wywiezienia. Dowiadujemy się, że w dużej hali sportowej funkcjonowały trzy komisje. Karty do głosowania skończyły się już o 10 rano. Pytamy, jak to się stało. Okazuje się, że dlatego, iż pracowali zbyt dobrze. W ciągu jednego dnia głosowało tu 15 000 osób. Inne komisje funkcjonowały gorzej

i dlatego przychodzili do nich, bo tu nie trzeba było czekać. Gdy karty się skończyły, a nie było nadziei na otrzymanie dalszych, nie zamykając lokalu, bo prawo na to nie pozwalało, kierowali wyborców do innych punktów.

Wracamy do hotelu. Dla nas wybory skończyły się. Dokumentacja skompletowana, sprawozdania wysłane – jutro wracamy do Europy. Z telewizji dowiadujemy się, że w 6 okręgach wybory będą trwały jeszcze jeden dzień.

Sądzę, że wszyscy, którzy obserwowali wybory są przekonani, że najbliższe miesiące będą dla Republiki Połu-

dniowej Afryki szansą demokracji, szansą której wykorzystanie będzie bardzo trudne. Wydaje się jednak, że coraz więcej obywateli nowej RPA ma świadomość tego, że klęska demokracji w tym rejonie Afryki musi się okazać ich osobistą katastrofą.

PS. Na moją prośbę adwokat P. Coetsee, Przewodniczący Rady Adwokackiej w Johannesburgu, przygotowuje specjalnie dla „Palestry” opracowanie dotyczące systemu prawa sądowego obowiązującego w RPA, ze szczególnym uwzględnieniem prawa o adwokaturze.